

Gazeta BIAŁOSTOCKA

ORGAN KW POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 305 (1957) 24—25—26. XII. 1957 r. Cena 40 gr

Prof. Edward Lipiński

Nowy model...

W gospodarce socjalistycznej właścicielem przedsiębiorstwa jest społeczeństwo. Środki społeczne są oddane do użytkowania załodze przedsiębiorstwa, ale to użytkowanie wymaga określonego systemu podziału funkcji. Podział funkcji zakłada określoną „hierarchię” — daje jednym władzę wydawania zarządzeń, inni są zobowiązani zarządzenia wykonywać, w przeciwnym wypadku nie będzie całkowicie lub częściowo osiągnięty cel przedsiębiorstwa.

Prawo do decyzji należy do kierownictwa, ale decyzje albo mogą być przyjęte ze zrozumieniem i aprobatą, albo z wewnętrznymi oporami, niechęcią. Jeżeli wykonywanie poleceń nie napotyka na wewnętrzne zrozumienie u wykonywujących, jeżeli polecenia są odczuwane jako idące z zewnątrz przymus i gwałt, jeżeli nie budzą aprobaty i nie są odczuwane jako zgodne z wewnętrznym przekonaniem — praca jest mało efektywna.

Wielkie możliwości stwarza zainteresowanie robotnika procesem produkcji, bliższe powiązanie go z zadaniami zakładu produkcyjnego poprzez realizację zasady współdecyzji załogi w najważniejszych sprawach dotyczących produkcji.

Próby wprowadzenia udziału robotników w podejmowaniu decyzji w przedsiębiorstwie są czynione nawet w gospodarce kapitalistycznej. Celem ich jest zastąpienie ducha walki klasowej przez ducha współpracy, aby z jednej strony znaleźć skuteczną broń przeciw walce robotników o podniesienie stopy życiowej, a z drugiej — zwiększyć wydajność pracy.

Sprawa ta nabiera innego znaczenia w gospodarce socjalistycznej. Uspołecznienie środków produkcji samo przez się nie stwarza wśród załóg poczucia, że są ich współwłaścicielami, że funkcjonują jako mandatariusze społeczeństwa. Służby natomiast powstawaniu tego poczucia idea rad robotniczych.

Ogłoszony niedawno w prasie (dla spowodowania dyskusji) projekt ustawy „O państwowych przedsiębiorstwach przemysłowych” mówi, że rada robotnicza, wybrana przez załogę, „w jej imieniu ZARZĄDZA przedsiębiorstwem, będącym własnością ogólnonarodową”, natomiast „dyrektor przedsiębiorstwa KIERUJE całokształtem jego działalności, zgodnie z zasadą jednoosobowego kierownictwa”. Dyrektor wydaje zarządzenia i polecenia na podstawie obowiązujących przepisów prawnych „w oparciu o uchwały rady robotniczej i jej prezydium” (nawiasem mówiąc art. 11, który mówi o wyborze prezydium, nie zawiera żadnych wskazówek

co do zakresu uprawnień prezydium).

Nadrzędność rady robotniczej nie oznacza, że rada KIERUJA, ADMINISTRUJA przedsiębiorstwem, one nim — ZARZĄDZAJĄ. Zarządzają — oznacza: decydują o sprawach rozwoju przedsiębiorstwa, techniki produkcji, technologii produktów, organizacji pracy, inwestycji, planów operacyjnych itp. Wyrazowi „zarządzanie” nadano specyficzne znaczenie, inne niż jest ogólnie zawarte w „kierowaniu”, „dyrygowaniu” i „administrowaniu”. Spod kompetencji dyrekcji wyłączono zasadnicze elementy istotnego „kierowania” przedsiębiorstwem, mianowicie wszystkie sprawy związane z długofalowym rozwojem przedsiębiorstwa, inwestycjami, planami techniczno-ekonomicznymi i okresowymi planami operacyjnymi, a nawet organizacją przedsiębiorstwa. W ten sposób znaczenie wyrazu „kierowanie” nabrało nowego, sensu: dyrektor kieruje tylko operatywnie samym bieżącym procesem produkcji, ale kieruje w warunkach technicznych i organizacyjnych ustalonych i zatwierdzonych przez radę robotniczą. Nawet jeżeli idzie o kredyty, dyrektor ma tylko prawo stawiać wnioski, które podlega zatwierdzeniu przez radę robotniczą.

Powierzenie radom robotniczym zarządzania przedsiębiorstwami posiada nie tylko ogromne znaczenie polityczne, ale stanowi niezwykle doniosłe i radykalne posunięcie ekonomiczne.

W gospodarce kapitalistycznej „zarządza” przedsiębiorstwem dyrekcja zakładu na

podstawie opinii ekspertów i naukowców, przygotowanie bowiem tych decyzji wymaga niezwykle wysokiego stopnia fachowości. Rzecz dotyczy przecież planów rozwoju przedsiębiorstwa, techniki produkcji, technologii produktów, organizacji zakładów.

Dotychczas ta dziedzina działalności przedsiębiorstwa była przeważnie regulowana przez centralne władze planujące i administrujące, czyli w sposób raczej wysoce biurokratyzowany.

Od czasu uchwalenia przez Sejm ustawy o radach robotniczych oraz w nowym projekcie — zarządzanie należy do rad. Zakłada się, oczywiście, że rady będą podejmowały odpowiednie decyzje na podstawie liczących i pogłębionych ekspertyz fachowych, opinii fachowców zatrudnionych przez przedsiębiorstwa bezpośrednio lub fachowców z zewnątrz. Zakłada się również milcząco, że zespoły rad robotniczych składające się przynajmniej w 2/3 z robotników fizycznych, nabiorą kiedyś przez doświadczenie i dokształcanie odpowiednich kwalifikacji, niezbędnych do podejmowania decyzji w skomplikowanych sprawach zarządzania przedsiębiorstwami.

Próba rady robotniczej ZALOGA bierze udział w zarządzaniu przedsiębiorstwem przez sam wybór rady, odwoływanie jej członków, uczestniczenie w zebraniach sprawozdawczych i dokonywanie oceny działalności rady jak i działalności przedsiębiorstwa, podejmowanie na zebraniach, naradach wy-

★ *ciąg dalszy na str. 3*

Jarzą się światła w oknach,
Jarzą się światła w latarniach,
stoją choinki na placach,

śnieg za śnieżynką śnieżynkę
sypie na każdą choinkę,
a wiatr odchodzi i wraca.

Po wszystkich miastach stoją
zielone drzewa pokoju
roziskrzzone nadzieją —

strojne w złote girlandki —
strojne w złociste lampki —
stoją i promienieją.

K. I. GAŁCZYŃSKI
(fragment wiersza „Noworoczne choinki”)

Święta, polityka i... sowa

NIE jestem fanatykiem. I dlatego wcale nie obiecuję, że kiedy usiądę przy choince, czy przy świątecznym stole z rodziną czy dobrymi znajomymi, będę czytać przemówienia tow. Gomułki.

Jestem jednak głęboko przekonana, że obok ryby, makowca i kieliszka wódki w owe świąteczne dni znajdzie się miejsce i na politykę. Choćbyśmy zamknęli drzwi nie wiem jak szczelnie. Polityka wciąż się w najintymniejsze rozmowy. Bo zdobyła sobie u nas prawo obywatelstwa, bo zagarnęła w swoje posiadanie każdego z nas, bo... takie to już czasy.

WŁASNIE, jakie? Jeden powie — trudne, drugi — ciężkie, a trzeci — ciekawe. I pewno w każdym określeniu będzie wiele racji. Choć jak przystało wszystkim optymistom gotowa jestem najwięcej racji przypisać określeniu trzeciemu. Pewno, że również dlatego, iż rok temu nikomu się nawet o sputnikach nie śniło, a dziś psy w sputnikach latają... Ale przede wszystkim z tego powodu, że w ciągu tego ostatniego roku nasze życie staje się takie inne... Właśnie inne — i nie tu z szukania lepszych określeń.

Owa inność, czy odmienność jest często nieuchwytna i niewymierna, a w stwierdzeniu jej istnienia bierze udział tylko jedyny ludzki zmysł: powonienie — po prostu się ją czuje. Czy jednak czucie lub wrażenie naprawdę tak trudno jest skonkretyzować?

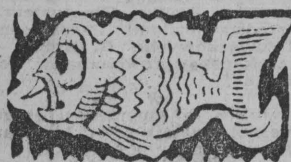
W okresie świątecznym wszelkie odpowiedzi na pytania są gorąco zalecane. Dlaczego więc nie pokusić się również o rozwiązanie tego rodzaju problemu. Możemy go nazwać „Materializacją” lub „Konkretyzacją” — jak wolicie. A więc...

Na VIII Plenum Władysław Gomułka powiedział: „Kiedy będzie można wygospodarować dalsze środki na podniesienie stopy życiowej klasy robotniczej, nie mógłbym w tej chwili konkretnie powiedzieć. Zależy to jednak przede wszystkim od

★ *ciąg dalszy na str. 2*

**DZIŚ
W NUMERZE**

■ Zwiedzamy
dno morza
■ Czytelnicy
o Świątach



■ „Firanki”, ale jakie?
■ Kairski Bandung



■ Rozpustnik
■ Pije Kuba

*Wesołych Świąt
i wam Czytelnikom
— Redakcja.*

40 LAT radzieckiej UKRAINY

W. ŻRALEK

KAIRSKI BANDUNG

26 grudnia rozpoczynają się w Kairze obrady przedstawicieli krajów Azji i Afryki.

Obrady te będą kolejnym po konferencji w Bandungu — wielkim spotkaniem dwóch kontynentów. Ich charakter będzie nieco odmienny od konferencji banduńskiej. Podczas gdy Bandung był spotkaniem przedstawicieli rządów krajów Azji i Afryki.



Fabryka Maszyn Włókienniczych Czing-wel należy do najbardziej nowoczesnych zakładów wybudowanych po wyzwoleniu w Chinach Ludowych.

NA ZDJĘCIU: robotnik fabryki Czing-wel, najbardziej nowoczesnych zakładów wybudowanych po wyzwoleniu w Chinach Ludowych.

NA ZDJĘCIU: w hucie im. Iljicza w m. Żdanow.

FOT. — CAF

głość. Malaje zwracali się do uczestników obrad banduńskich z apelem o poparcie ich walki o wolność. Malaje uzyskały niezawisłość. W rezolucji końcowej wyrażono postulat przyjęcia do ONZ: Kambodży, Ceylonu, Japonii, Jordanii, Laosu, Libii, Nepalu oraz zjednoczonego Wietnamu. Wszystkie te kraje — z wyjątkiem Wietnamu, który jest ciągle krajem rozdzielonym — są obecnie członkami ONZ. Blok afrykańsko-azjatycki jest dziś jednym z najsilniejszych ugrupowań tej organizacji.

Wyrazem wzrostu aktywności Afryki będzie również konferencja krajów tej strefy, która na wniosek Ghany — najmłodszego państwa afrykańskiego — odbędzie się w początkach przyszłego roku w stolicy tego kraju — Akrze.

Sam fakt, że konferencja ta odbywać się będzie w Kairze, stolicy kraju, który awansował na jednego z czołowych przywódców ruchu narodowego — wyzwolenczego, jest zapowiedzią tego, że państwa afrykańskie odgrywać będą na tej konferencji doniosłą rolę anizeli w Bandungu. Szczególnie ciekawa będzie obserwacja stanowiska przedstawicieli takich krajów afrykańskich, jak Ghana, Tunis i Maroko. Kraje te nie określiły jeszcze bowiem wyraźnie swego stanowiska w polityce międzynarodowej.

Istotnym elementem spotkania kairskiego będą wystąpienia przedstawicieli Indii. W ostatnim okresie obserwujemy spadek aktywności tego kraju w polityce międzynarodowej. Spowodowane to było głównie trudnościami wewnętrznymi Indii. W prasie amerykańskiej wyrażane są w związku z tym nadzieje, że gład

zmusi Indie do nawiązania bliższych stosunków z USA. W Kairze sprawa ta zostanie, być może, wyjaśniona. Określone również zostaną wyraźniej stosunki między Indiami a Egiptem, które w pewnej mierze zostały zakłócone w wyniku krytycznego stosunku Nehru do niektórych aspektów polityki Nassera.

I wreszcie, bardzo ciekawą rzeczą będzie obserwowanie stosunku uczestników obrad kairskich do ZSRR. Bandung stał pod znakiem olbrzymiej popularności Chin Ludowych i osobistego autorytetu premiera Czou En-laj. W ciągu dwóch lat, jakie minęły od Bandungu, powoli zmniejszały się stosunki między krajami Azji i Afryki a ZSRR, czego wyrazem są przede wszystkim stosunki między ZSRR a Egiptem i innymi krajami blisko-



NA ZDJĘCIU: prezydent Egiptu, Nasser.

Jak potoczą się losy świata, co zwycięży — pokój czy wojna, jakie będą wyniki rywalizacji dwóch systemów — nie powiadamy się. Wypatrywać się wypatrywać się, co dzieje się na „starym kontynencie”. Dwa odległe kontynenty — Azja i Afryka — stają się coraz poważniejszymi czynnikami w polityce międzynarodowej.



NA ZDJĘCIU: premier Czou En-laj wita U. Nu.

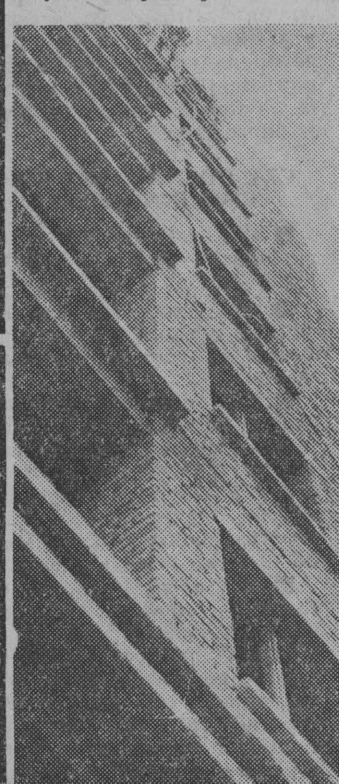
FOT. — CAF

wschodnimi. W tych warunkach wiele wskazuje na to, że Kair stał się będzie pod znakiem...

W tym samym czasie, gdy w Kairze toczy się debata o przyszłość świata, w Europie dzieje się coś innego. W Europie, gdzie w ostatnich latach miały miejsce liczne zmiany polityczne, coraz bardziej widoczne są tendencje do umiarkowania i powrotu do tradycji. W Europie, gdzie w ostatnich latach miały miejsce liczne zmiany polityczne, coraz bardziej widoczne są tendencje do umiarkowania i powrotu do tradycji.

Najwyższy w mieście...

Co pyta przede wszystkim człowiek, który buduje pierwszy białostocki wieżowiec? Oczywiście o pierwszą po wojnie w Białymstoku windę. Potem dopiero, po przekonaniu się, że montaż windy należałoby do jednej z ostatnich...



prace wykończeniowe, rozmowa z kierownikiem, który odczytuje plany, które wykończą się w przyszłości.

Pracując jeszcze w trudnych warunkach, kierownik budowy, który odczytuje plany, które wykończą się w przyszłości.

Pracując jeszcze w trudnych warunkach, kierownik budowy, który odczytuje plany, które wykończą się w przyszłości.

Pracując jeszcze w trudnych warunkach, kierownik budowy, który odczytuje plany, które wykończą się w przyszłości.

Pracując jeszcze w trudnych warunkach, kierownik budowy, który odczytuje plany, które wykończą się w przyszłości.

Pracując jeszcze w trudnych warunkach, kierownik budowy, który odczytuje plany, które wykończą się w przyszłości.

Gdy inni świętują...

Rzeczona Polska Radio w Białymstoku, jest jedną z nielicznych w mieście placówek, gdzie praca trwa nieprzerwanie dzień i noc, bez względu na święta. Pracują, oczywiście, nie wszyscy — odpowiedzialni za pracę przy skomplikowanej aparaturze pełnią przede wszystkim technicy. Ich podstawowe zadanie polega na transmitowaniu programu II Warszawy oraz nadawaniu programów własnych.

Dziur Witolda Nazarko — młodego technika rozgłośni białostockiej przypada w tym roku w pierwszy dzień świąt. P. Witold będzie jednak niezupełnie rozczarowany w tym dniu z rodziną. Mieszkając bowiem razem z żoną w małym mieszkaniu, P. Witold rozczłonił, jak to się dzieje, że w dniu świąt jest już zupełnie wolny.

Pytamy jeszcze P. Witolda o to, czego życzy sobie z okazji świąt. Zaskoczony tym pytaniem, P. Witold odpowiada, że chciałby, aby w „drugie święto” była pogodna. Zaraz potem jednak wrócił do tematu: „gdym tak mieszkanie”.

Kolejny — dziennikarz — powiada Nazarko — przygotowaliśmy święta ciekawy program. Będzie audycja „Poezja i muzyka”, „Białostocka ewangelia” i inne ciekawe pozycje. W sumie nie będzie na dyżurze tak źle. Tym bardziej, że w dniu świąt jest już zupełnie wolny.

Pytamy jeszcze P. Witolda o to, czego życzy sobie z okazji świąt. Zaskoczony tym pytaniem, P. Witold odpowiada, że chciałby, aby w „drugie święto” była pogodna. Zaraz potem jednak wrócił do tematu: „gdym tak mieszkanie”.

Pytamy jeszcze P. Witolda o to, czego życzy sobie z okazji świąt. Zaskoczony tym pytaniem, P. Witold odpowiada, że chciałby, aby w „drugie święto” była pogodna. Zaraz potem jednak wrócił do tematu: „gdym tak mieszkanie”.

Pytamy jeszcze P. Witolda o to, czego życzy sobie z okazji świąt. Zaskoczony tym pytaniem, P. Witold odpowiada, że chciałby, aby w „drugie święto” była pogodna. Zaraz potem jednak wrócił do tematu: „gdym tak mieszkanie”.

Pytamy jeszcze P. Witolda o to, czego życzy sobie z okazji świąt. Zaskoczony tym pytaniem, P. Witold odpowiada, że chciałby, aby w „drugie święto” była pogodna. Zaraz potem jednak wrócił do tematu: „gdym tak mieszkanie”.

Pytamy jeszcze P. Witolda o to, czego życzy sobie z okazji świąt. Zaskoczony tym pytaniem, P. Witold odpowiada, że chciałby, aby w „drugie święto” była pogodna. Zaraz potem jednak wrócił do tematu: „gdym tak mieszkanie”.

Pytamy jeszcze P. Witolda o to, czego życzy sobie z okazji świąt. Zaskoczony tym pytaniem, P. Witold odpowiada, że chciałby, aby w „drugie święto” była pogodna. Zaraz potem jednak wrócił do tematu: „gdym tak mieszkanie”.

Pytamy jeszcze P. Witolda o to, czego życzy sobie z okazji świąt. Zaskoczony tym pytaniem, P. Witold odpowiada, że chciałby, aby w „drugie święto” była pogodna. Zaraz potem jednak wrócił do tematu: „gdym tak mieszkanie”.

Pytamy jeszcze P. Witolda o to, czego życzy sobie z okazji świąt. Zaskoczony tym pytaniem, P. Witold odpowiada, że chciałby, aby w „drugie święto” była pogodna. Zaraz potem jednak wrócił do tematu: „gdym tak mieszkanie”.

Pytamy jeszcze P. Witolda o to, czego życzy sobie z okazji świąt. Zaskoczony tym pytaniem, P. Witold odpowiada, że chciałby, aby w „drugie święto” była pogodna. Zaraz potem jednak wrócił do tematu: „gdym tak mieszkanie”.

Pytamy jeszcze P. Witolda o to, czego życzy sobie z okazji świąt. Zaskoczony tym pytaniem, P. Witold odpowiada, że chciałby, aby w „drugie święto” była pogodna. Zaraz potem jednak wrócił do tematu: „gdym tak mieszkanie”.

Pytamy jeszcze P. Witolda o to, czego życzy sobie z okazji świąt. Zaskoczony tym pytaniem, P. Witold odpowiada, że chciałby, aby w „drugie święto” była pogodna. Zaraz potem jednak wrócił do tematu: „gdym tak mieszkanie”.

Królestwo pana Władysława

Nie wąs zdobi człowieka...



Władysław Okurowski, który w Spółdzielni Szwesko-Kampaniejskiej im. Botwina spotkał się z Władysławem Marciniewiczem. Po kilku słowach rozmowy okazało się, że „nie wąs zdobi człowieka, ale...”

Głosił, które w kwietniu wykwiła czerwonymi i białymi kielichami, dzisiaj potrzebują najtroskliwszej opieki. Pan Władysław musi zatem pilnie baczyć, aby te obecnie maleńkie jak główka od szpilki rośliny miały należytą wilgotność i właściwą temperaturę.

Takich kwiatów doniczkowych, nad którymi wciąż trzeba baczyć, znajduje się w cieplarniach przy ul. Podleśnej, ni mniej, ni więcej tylko 10 tys. doniczek!

Pan Władysław Okurowski pracuje w ogrodnictwie 30 lat. Terminy kwitnienia kwiatów zna jak tabliczkę mnożenia. A więc cyfryeranie kwitną w połowie lutego, goździki w maju, kalle późną jesienią, a potem w maju i kwietniu.

W zielonym królestwie pana Władysława nie brak także kłopotów. Oto roża „Marechal Niel”, której gałęzie sięgają szklanego dachu cieplarni — choruje. Pan Władysław mówi, że to rak.

Pani Maria bierze w zniechęcenie rękę maszynką do przycinania biletów. — Rynek Kościuszki! — Pani będzie uprzejma i powie mi kiedy będziemy...

Kto by przypuszczał, że i piękna róża może toczyć rak. A „marechalnik” ma już cztery paki kwiatów. Nie zdają one jednak rozwijać się na święta. A szkoda. Mogłyby już tworzyć maleńki ślubny bukiet. Bo zamówienia na wiązanki nadchodzą daleko przed świętami. Róża trzeba więc zamienić na białe smukłe kalle lub alpejskie fiołki.

Na odchodne pytamy Marcinkiewicza o buty. O jego własne buty — nie ma mowy i śmieje się. „Zawieszonych” to wcale nie ma. Cóż, wiadomo nie od dziś, że przyszłość ma nadzieję przetrwać, niż normalnie sztywny, miękki, a nie jak z kamienia.

Na odchodne pytamy Marcinkiewicza o buty. O jego własne buty — nie ma mowy i śmieje się. „Zawieszonych” to wcale nie ma. Cóż, wiadomo nie od dziś, że przyszłość ma nadzieję przetrwać, niż normalnie sztywny, miękki, a nie jak z kamienia.

Na odchodne pytamy Marcinkiewicza o buty. O jego własne buty — nie ma mowy i śmieje się. „Zawieszonych” to wcale nie ma. Cóż, wiadomo nie od dziś, że przyszłość ma nadzieję przetrwać, niż normalnie sztywny, miękki, a nie jak z kamienia.

Na odchodne pytamy Marcinkiewicza o buty. O jego własne buty — nie ma mowy i śmieje się. „Zawieszonych” to wcale nie ma. Cóż, wiadomo nie od dziś, że przyszłość ma nadzieję przetrwać, niż normalnie sztywny, miękki, a nie jak z kamienia.

Na odchodne pytamy Marcinkiewicza o buty. O jego własne buty — nie ma mowy i śmieje się. „Zawieszonych” to wcale nie ma. Cóż, wiadomo nie od dziś, że przyszłość ma nadzieję przetrwać, niż normalnie sztywny, miękki, a nie jak z kamienia.

Proszę przechodzić do przodu!

Codziennie setki pasażerów, setki biletów, setki przeciżytych kart miesięcznych. I tak od dwóch lat. Maria Paplernik tyle właśnie pracuje w MPK. Wydawałoby się, że praca lekka. No cóż. Tylko siedzieć i wydawać bilety. A jednak...

Pracując niekiedy od wczesnych godzin rannych. Do pracy wychodzi nocą. Mieszkam w Starejszych i o tej porze nie ma z Białymstokiem żadnego połączenia. Trzeba więc te 4 kilometry przejść piechotą.

No tak. A potem, gdy już rozpoczyna się dzień pracy, to bywa różnie. Sami zresztą wiemy, bo jeździmy autobusami.

Proszę się przesuwać! Proszę za bilet! Nie każdy jednak pasażer ustucha. Tłoczą się u wejścia, tarasują drogę innym. Konduktorka musi wciąż czuwać nad porządkiem. A czy to mało razy zostanie obrzucona obelżywymi słowami? Rzadko się zdarza, że

pasażerowie interweniują, biorą konduktorkę w obronę przed różnymi łobuzerskimi wybrykami. Pasażerowie przezwyciężają milczeniem, przysługują się. Konduktorka musi poradzić sobie sama.

A już najgorsza to praca na trasie Rynek Kościuszki — Rynek Kościuszki! — Pani będzie uprzejma i powie mi kiedy będziemy...

Pracując niekiedy od wczesnych godzin rannych. Do pracy wychodzi nocą. Mieszkam w Starejszych i o tej porze nie ma z Białymstokiem żadnego połączenia. Trzeba więc te 4 kilometry przejść piechotą.

No tak. A potem, gdy już rozpoczyna się dzień pracy, to bywa różnie. Sami zresztą wiemy, bo jeździmy autobusami.

Proszę się przesuwać! Proszę za bilet! Nie każdy jednak pasażer ustucha. Tłoczą się u wejścia, tarasują drogę innym. Konduktorka musi wciąż czuwać nad porządkiem. A czy to mało razy zostanie obrzucona obelżywymi słowami? Rzadko się zdarza, że

pasażerowie interweniują, biorą konduktorkę w obronę przed różnymi łobuzerskimi wybrykami. Pasażerowie przezwyciężają milczeniem, przysługują się. Konduktorka musi poradzić sobie sama.

A już najgorsza to praca na trasie Rynek Kościuszki — Rynek Kościuszki! — Pani będzie uprzejma i powie mi kiedy będziemy...

Pracując niekiedy od wczesnych godzin rannych. Do pracy wychodzi nocą. Mieszkam w Starejszych i o tej porze nie ma z Białymstokiem żadnego połączenia. Trzeba więc te 4 kilometry przejść piechotą.

No tak. A potem, gdy już rozpoczyna się dzień pracy, to bywa różnie. Sami zresztą wiemy, bo jeździmy autobusami.

Proszę się przesuwać! Proszę za bilet! Nie każdy jednak pasażer ustucha. Tłoczą się u wejścia, tarasują drogę innym. Konduktorka musi wciąż czuwać nad porządkiem. A czy to mało razy zostanie obrzucona obelżywymi słowami? Rzadko się zdarza, że

pasażerowie interweniują, biorą konduktorkę w obronę przed różnymi łobuzerskimi wybrykami. Pasażerowie przezwyciężają milczeniem, przysługują się. Konduktorka musi poradzić sobie sama.

A już najgorsza to praca na trasie Rynek Kościuszki — Rynek Kościuszki! — Pani będzie uprzejma i powie mi kiedy będziemy...

Pracując niekiedy od wczesnych godzin rannych. Do pracy wychodzi nocą. Mieszkam w Starejszych i o tej porze nie ma z Białymstokiem żadnego połączenia. Trzeba więc te 4 kilometry przejść piechotą.

No tak. A potem, gdy już rozpoczyna się dzień pracy, to bywa różnie. Sami zresztą wiemy, bo jeździmy autobusami.

Proszę się przesuwać! Proszę za bilet! Nie każdy jednak pasażer ustucha. Tłoczą się u wejścia, tarasują drogę innym. Konduktorka musi wciąż czuwać nad porządkiem. A czy to mało razy zostanie obrzucona obelżywymi słowami? Rzadko się zdarza, że

pasażerowie interweniują, biorą konduktorkę w obronę przed różnymi łobuzerskimi wybrykami. Pasażerowie przezwyciężają milczeniem, przysługują się. Konduktorka musi poradzić sobie sama.

Pije Kuba...

Pijaństwo i związane z tym chuligaństwo stały się u nas plagą społeczną, która zatrnuje życie spokojnym ludziom. Nie-



Antoni R. lat 34, zam. w Białymstoku to stary bywalec Izby Wyrzeźwien. Jest tu trzeci raz. Awanturuje się i krzyczy — w przeciwieństwie do paru innych, którzy siedzą spokojnie nawet wydają się jako tako trzeźwi. Ale można tak myśleć.

Wszystko — tylko nie zastrzyki! Krzyczy Antoni R.

Wszystko — tylko nie zastrzyki! Krzyczy Antoni R.

Białymstoku otwarta Izba Wyrzeźwien i do dnia 18 grudnia przyjęto w niej już ponad 700 „pacjentów”.



Antoni R. lat 34, zam. w Białymstoku to stary bywalec Izby Wyrzeźwien. Jest tu trzeci raz. Awanturuje się i krzyczy — w przeciwieństwie do paru innych, którzy siedzą spokojnie nawet wydają się jako tako trzeźwi. Ale można tak myśleć.

Wszystko — tylko nie zastrzyki! Krzyczy Antoni R.

Wszystko — tylko nie zastrzyki! Krzyczy Antoni R.



Antoni R. lat 34, zam. w Białymstoku to stary bywalec Izby Wyrzeźwien. Jest tu trzeci raz. Awanturuje się i krzyczy — w przeciwieństwie do paru innych, którzy siedzą spokojnie nawet wydają się jako tako trzeźwi. Ale można tak myśleć.

Wszystko — tylko nie zastrzyki! Krzyczy Antoni R.

Wszystko — tylko nie zastrzyki! Krzyczy Antoni R.



Antoni R. lat 34, zam. w Białymstoku to stary bywalec Izby Wyrzeźwien. Jest tu trzeci raz. Awanturuje się i krzyczy — w przeciwieństwie do paru innych, którzy siedzą spokojnie nawet wydają się jako tako trzeźwi. Ale można tak myśleć.

Wszystko — tylko nie zastrzyki! Krzyczy Antoni R.

Wszystko — tylko nie zastrzyki! Krzyczy Antoni R.



Antoni R. lat 34, zam. w Białymstoku to stary bywalec Izby Wyrzeźwien. Jest tu trzeci raz. Awanturuje się i krzyczy — w przeciwieństwie do paru innych, którzy siedzą spokojnie nawet wydają się jako tako trzeźwi. Ale można tak myśleć.

Wszystko — tylko nie zastrzyki! Krzyczy Antoni R.

Wszystko — tylko nie zastrzyki! Krzyczy Antoni R.



Antoni R. lat 34, zam. w Białymstoku to stary bywalec Izby Wyrzeźwien. Jest tu trzeci raz. Awanturuje się i krzyczy — w przeciwieństwie do paru innych, którzy siedzą spokojnie nawet wydają się jako tako trzeźwi. Ale można tak myśleć.

Wszystko — tylko nie zastrzyki! Krzyczy Antoni R.

Wszystko — tylko nie zastrzyki! Krzyczy Antoni R.

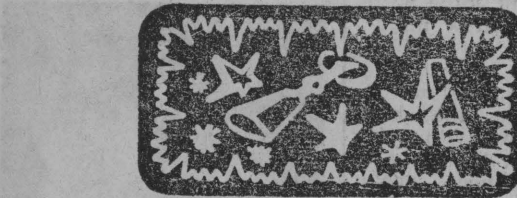
Czytelnicy o Świętach...

K. I. GALCZYŃSKI

Choinkowa zabawa dla dzieci z lepszych domów (Fragmenty)

Utwór nagr. i nagroda na konkursie sekcji literackiej Związku B. Wiczników Kryninalnych. Występują: Jasi i Malgosia. Jasi może być w zielonych ponczach, Malgosia w skromnej sukience z czer. ochan. Sę. Kochanecki, moż. zrobić z biurka Tatusia. Na co Tatusiowi biurko? Tatusi przecież nie sypia na biurku, tylko na kanapie. A o publiczność, Kochanecki, nie dbaj. Sam Karol Stremenger, Kochanecki, powiedział, że w Polsce nie ma publiczności, a na operę chodzą tylko pijani, żeby wytrzeźwieć.

JASI:
Hej, koci — koci — łapci
ucieszymy serce babci,
stworzymy ronde enfantine!
Gwiazdeczki, aniołeczki,
szklanećki, kielsiećki
już dzwonią rin — tin — tin.



MALGOSIA:

Tatusi potwornie pijany
gryzie wspanie ze ściany,
ach, biedny tatusi nasz!
Snaż zmożon życia bolem
zatrul się alkoholem,
widzi króliki aż.

JASI:
Hej, koci — koci — łapci,
ucieszymy serce babci,
stworzymy ronde enfantine!
Gwiazdeczki, aniołeczki,
szklanećki, kielsiećki
już dzwonią rin — tin — tin.

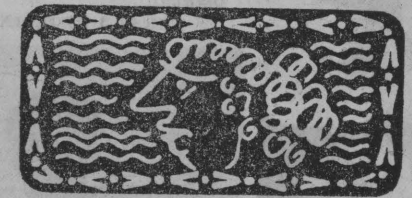


MALGOSIA:

Wujaszka Polikarpa
męczy ogonek karpia,
i pacierzowy radeń.

JASI:
To nic. Pigułkę tylnie
i tym sposobem uniknie
okropnych zatwar — dzeń...

MALGOSIA:
...Spójrz na cioteczne Busie,
też tonie w spirytusie —
Co za potworny dom!

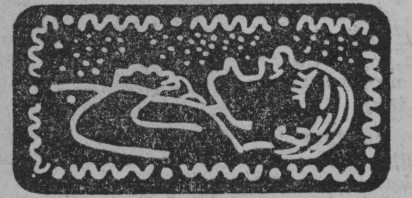


JASI:

Malgosiu, dzisiaj Gwiazdka,
nie kalaj swego gwiazdka,
tiril, tiril, bom-bom.

MALGOSIA:

Zemdlala ciocia Busia,
Boże, już wynoszą tatustia,
gdyż klinem wybił klin!



JASI:

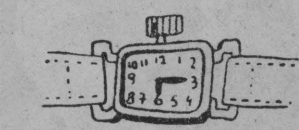
Hej, koci — koci — łapci!
Ucieszymy serce babci,
stworzymy ronde enfantine.

JAN KAMYCZEK

Przerzność na CODZIEN (i na Święta)

Na wizyte przychodzi się punktualnie. Najwyżej z piętnastominutowym opóźnieniem. Spóźnianie się na wizytę nie jest wcale „w dobrym tonie”. Przeciwnie, jest niegrzeczne.

Nawet jeśli odwiedziny mają być krótkie, trzeba zdążyć pisać. Nie musimy czekać, aż zachęca nas do tego.



go gospodarze. Jeśli w pobliżu nie ma wieszaka, pytamy domowników, gdzie można ułokować płaszcz. Nie ma ułokować płaszczy, wieszaka może porządnie ożać peczce lub w kapeluszu, jeśli odwiedziny mają charakter „oficjalny”, jeśli przyszła „w interesie” lub tylko „wpadła” na chwilkę do znajomych. We wszystkich innych wypadkach lepiej czapeczkę zdjąć, a już obowiązkowo — gdy gospodarze proszą do stołu dla spożycia obiadu lub kawy.

Wejście do pokoju, w którym odbywa się towarzyskie zebranie, jest dla nieśmiałości momentem krytycznym. Szczególnie, jeśli towarzystwo jest mało znajome. Gość czuje się jak na cenzurowanym, nerwowo poprawia fryzurę czy krawat, czerwieni się, upuszcza torbę, jeszcze bardziej się czerwieni, łuszczy głowę i na chybili trafił zaczyna się witać, z rozpaczliwym poczuciem, że robi to w fatalnym porządku. Innym objawem nieśmiałości jest — przeciwnie — nadmierne śmiałość. Gość wchodzi aroganckim



zaczynając od najstarszej (a przynajmniej od tej, która na to wygląda), potem z młodszymi, zaczynając znowu od najstarszych. Nieznajomy przedstawia nas gospodarzowi lub gospodyni, albo sami się przedstawiamy. Ten

drugi wypadek jest zresztą częstszy i coraz bardziej się przyjmuje.

Podana kolejność witania to przejaw teorii. W praktyce goście zwykle tak są rozmieszczani, że musiałoby, dla utrzymania twórcy idealnego porządku witania, młotać się tam i z powrotem po pokoju, co nie jest



ani ładne, ani potrzebne. Toteż szczególnie przy licznych zebraniach zwykle witanie się naprzód po kolei z kobietami, a następnie po kolei z mężczyznami lub odwrotnie, tak jak siedzą, czy stoja, bez różnicy płci. Byłe gospodarzy powitać na początku.

Gdy przybywamy w odwiedziny w chwilę, gdy całe towarzystwo siedzi już przy jadalnym stole, witanie się tylko z gospodynią, obecnym składamy ogólny ułkon i siadamy od razu na wskazywanym przez gospodynię miejscu.

OBOWIĄZKI GOSPODARZY

Szczególnie troskliwie należy zająć się gościem, który pierwszy przybywa na towarzyskie zebranie. Jest on często tym faktem speszony. Nie należy dawać mu do poznania, że przyszedł za wcześnie.

Mniej więcej w dwadzieścia minut po przybyciu pierwszych gości trzeba podać herbatę, albo poprosić gości do bufetu, nie czekając na spóźnionych. Jeśli spóźnieni nie zostają już najlepszych kawałków, to sami sobie winni.

Trzeba zachęcać gości do jedzenia i do picia, ale bez nadmiernej. Jeśli gość mówi „dziękuję”, nie trzeba nalegać. A przede wszystkim nigdy nie nalegać na picie alkoholu. Gospodarz, który w jakikolwiek sposób przymusza gości do picia („Obraża się, jeśli nie wypijesz, bo to za moje zdrowie”) — dowodzi wielkiego braku kultury.

jak za kilka lat poczuje pan wątrobę i nerki.

— Ciupstwo — machnął ręką pan Smitek z grzeszną lekomyślnością. — Grunt, że użyłem życia!

Tego wieczoru pan Smitek kupił sobie kawałek pasztetu i dziesięć deka sera, po czym powędrował do domu i ugotował sobie herbatę. Kawałek pasztetu i skórkę od sera dostała jego kotka Liza, która, zjadłszy przysmak, otarła łapkami pyszczek i chciała wyjść na dwór.

Ty lajdaczko, ty lekomyślnie stworzenie — pogroził jej pan Smitek — znowu byś chciała iść na wódcę. Siedź w domu, siedź! Czego ci tu brak? Już jesteś dosyć stara, powinnaś mieć trochę rozumu, ty wódczyk! — przemawiał cicho, biorąc Lizę na kolana. Potem założył na uszy słuchawki, nastawił detektor i słuchał, co tego dnia nadają w radio. Ktoś tam deklamował jakieś wiersze, pan Smitek próbował wybić rytm nogą, ale kiedy mu to nie wychodziło, zaczął się nudzić i pociągnął Lizę za ogon. Kotka odwróciła się i pacnęła go po rękę, potem dla pewności zeskokczyła na ziemię i zaświeciła oczami spod łóżka.

Ta poezja i zły humor Lizy rozstroili jakoś pana Smitek. Przeczytał kawałek gazety, w którym przyniósł sobie do domu ser, i o dziesiątej już leżał w łóżku. O pół do jedenastej włożyła na łóżko Lizę i ułożył się w nogach swego pana, ale pan Smitek już wtedy spał na dobre.

Aaach! — ziewał następnego dnia pan Smitek — co to za życie! Ach, co za noc, powiadam wam! Spójrzcie na ten ślad na ręku. Cóż to była za dziewczyna — jakaś Rosjanka, Liza jej było na imię — jak dzika kotka! Co też ona wyprawiała!...

Pan Smitek beznadziejnie machnął ręką. — Ale co wam będą opowiadać, wy pantoflarze! Czy wy macie pojęcie, co to jest życie? Co tam, niech mi nawet grozi kryminalny czy śmierć, byłbym użył życia! Ale wy?... Dajcie mi święty spokój i z waszą małymiejszą moralnością!

KAREL CAPEK



Tradycja każe, aby na świątecznym stole była ryba. Jedni lubią faszerowaną, inni po żydowski, jeszcze inni w galarecie, lub smażoną — ale wszyscy są zgodni co do tego, że bez ryby nie ma świąt.

Gospodynie domowe przed świętami biegają po mięsie szukając ryby. Chwają się, że znalazły ładnego karpia, leszcza czy szupłaka. Niezależnie od tego nie można wybrać, trzeba kupować co jest, czyli jak leci.

W wigilijny i podczasy świąt na stole „figuruje” ryba; zjadamy ją ze smakiem, chwaliąc

ŚWIĘTA. Tradycyjne grudniowe święta. Ileż one przynoszą radości dzieciom? Najmłodszym nie mogą wprost doczekać się chwili, gdy w kacie pokoju stanie wysoki choinka i zabłysną na niej różnokolorowe lampki. Bo dla dzieci grudniowe święta — to przede wszystkim choinka.

Ileż one przynoszą zmartwień i kłopotów gospodyniom domowym, żonom, mężom? Porządki, zakupy, przygotowania, prezenty gwiazdkowe, pochłanianie każdej wolnej chwili.

Tradycja każe, by w wigilijny gwiazdkowy przykrytym białym obrusem stole, zasiadła cała rodzina. A na stole potrawy, o których w normalnych dniach — można tylko marzyć.

Nie istnieje kwestia odległości czy zwich polaczeń kolejowych, nie ważne jest to, że Szczecin oddalony jest od Białegostoku o setki kilometrów. Przyjaciele udają się do przyjaciół, rodziny do swych najbliższych.

Mile, naprawdę mile są tradycje grudniowe święta.

Na temat przygotowań do nich oraz sposobu ich spędzenia, przeprowadziliśmy kilka



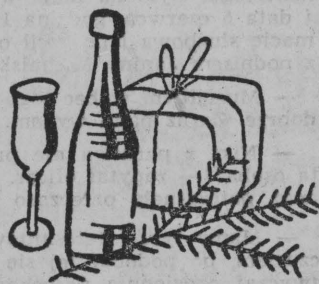
rozmów z czytelnikami naszej „Gazety”.

HALINA KLIZ

wykładowczyni języka polskiego i historii w Technikum Rolniczym w Dojlidach

— Przygotowań specjalnych do tegorocznych świąt nie ro-

biłam. Dla mnie święta — to dwa tygodnie wolne od zajęć w szkole. Robię wszystko, aby czas ten wykorzystać jak najlepiej. W Bielsku Białym mam najbliższą rodzinę i tam też wyjeżdżam. Ale rodzina nie naciska się na długo. Wie pan — ja Kochanym. Codziennie od rana do wieczora hasać będę po Klimczoku i Szynielni. Nie mogę po prostu doczekać się tej



chwili. — Prezenty? Naturalnie — bez nich nie można wyobrazić sobie gwiazdki. Kupiłam kilka drobiazgów dla dzieci. Myślę, że będą zadowolone.

TERESA RUDALSKA

starszy referent zatrudnienia i plac w WZGKIM

— W przygotowaniach do świąt jak mogę tak pomagać mamusi. Obie pracuję. Kupiłam kilka drobiazgów dla dzieci. Myślę, że będą zadowolone.

Tegoroczne święta zapowiadają się bardzo miło. Mam narzeczonego, który wigilijny gwiazdkowy i następne dni spędzi u nas. Pan sobie nie wyobraża jak się cieszę! Kochamy się bardzo i święta będą dla nas bardzo, bardzo przyjemne.

Kupiłam prezent gwiazdkowy, ale jaki nie powiem. Chcę bowiem zrobić niespodziankę.

STANISŁAW KOPACZ

pilot sanitarny i samolotowy mistrz Polski

— Charakter mojej pracy nie pozwala mi na pomaganie w przygotowaniach w domu. Mam bowiem dyżury na lotnisku. Cały nawał pracy świątecznej spoczywa więc na barkach żony. Do mnie na-

leżać będzie jedynie zaopatrzenie domu w wodkę. Tej jednak dużo nie będzie, gdyż w święta będę pracował. W pierwszy i drugi dzień świąt mam dyżur na lotnisku do godz. 10-tej.

Tak więc jedynie popołudnie i wieczór wigilijny spędzę w gronie rodziny.

WALENTYNA MOGIŁNICKA

gospodyni domowa

— Mam dużo kłopotu w pracy przedświątecznej. Trudno dostać jasek, a na rynku chołpi sprzedają je po wygórowanych cenach. Nie można również kupić drobiu. Trzeba mieć zęszczęcie.

W wigilijny i mięso zaopatrzyłam się za to bez większych trudności. W „Delikatesach” jest bardzo smaczna szynka, której można kupić dowolnie.

Święta spędzamy w gronie rodzinnym. Wódki nie kupowałam, gdyż to jest sprawa męża. Myślę, że nie będzie jej jednak dużo, gdyż latem przygotowałam sporą ilość dobrego wina.

Prezenty? A jakie. Kupiłam już nawet męzowi krawat, synowi koszulę w kratę i bratu chusteczkę do nosa.

KAZIMIERZ DZIKIEWICZ

maszynista kolejowy

Gdy rozmawiałem z ob. Dzikiewiczem, nie wiedział jeszcze czy w święta będzie pracował czy nie. Pociągi kursować będą jednak normalnie i dlatego też wszystkie wskazują na to, że raczej tak.



STANISŁAW CZARNECKI

cieśla BPZB

— Mam dużą rodzinę — 6 dzieci i żonę. Z upominkami gwiazdkowymi będzie więc nieco kłopotu. W święta jak co roku przyjdzie do nas teściowa, poza tym chyba nikt. Z przygotowaniem do świąt, do mnie należała jedynie wódka. Ponieważ poza mną w rodzinie nikt nie pije, kupiłem więc tyle, by wystarczyć na 3 dni.

Rozmawiał: K. Urbańczyk

limy się potrawami. Według przysłówia „czym parowóz bogalsi, tym rad”.

ZOFIA TRYBULSKA
kierowniczka Klubu TPI-R

— Święta spędzamy w domu. Przygotowania ukończono. Nie staram się w kolejkach po zakupy, gdyż dokonałam tego grubo wcześniej. Ożor, gęś leży w szpiżarce, a w wannie pływa karp.

Czego sobie życzę na święta? Przede wszystkim zdrowia. Niedawno wróciłam ze szpitala i pan rozumie, zdrowie jest obecnie dla mnie najcenniejsze. Z prezentem gwiazdkowym mam już już pospieszył. Dostałam książkę pt. „Klasztor i kobieta” — będzie co czytać. Naturalnie zrewanżuję się, ale czym — to na razie tajemnica.

KRYSTYNA KRAJEWSKA

kierownik budowy nr 449 BPZB

— Jak każe tradycja święta rozpoczną na budowie. W



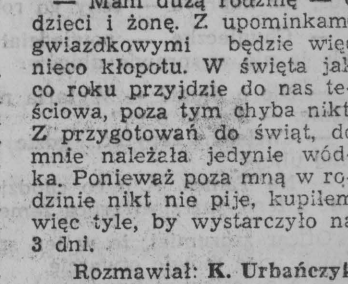
nie zawsze na rynku jest dostateczna ilość ryby.

Rybacki hodują ryby i łowią je. Łowią co dzień, w deszcz, wiatr i mróz. Warto więc nie chociaż raz, z okazji świąt, które bez ryby nie mogą się obyć, złożyć serdeczne podziękowania za ich cichy, niepopularny trud. Dziękujemy Wam Towarzysze rybacki!

Tekst: JOTEL

Zdjęcia: Z. ZAREMBA

Niestety — cały połów zmienił się do tej skrzynki.



ANNA KLÓDZIŃSKA ZŁOTA ABRANSOLETA

29

W sklepie komisowym w Warszawie dokonano zabójstwa kierownika tego sklepu — Andrzeja Zadrożnego. Zabójstwo nastąpiło w tajemniczych okolicznościach. Wiadomo tylko, że Zadrożnego łączyły jakieś podejrzenia interesy z częścią pozostałego personelu. Zagadkę śmierci Zadrożnego postanawia wyjaśnić kapitan Szczyński. Po kilku dniach sprawa komplikuje się. Jakkolwiek zostaje nowe morderstwo. W szpitalu zabójstwo dokonał dr J. Kępiński.

Po wielu obserwacjach kapitan Szczyński zwraca uwagę na charakterystyczną zbieżność w metodach dokonania zbrodni. Postanawia uchwycić się tego wątku. Jednym z ludzi, którzy mogli zabić dr. Kępińskiego był pielęgniarz występujący pod nazwiskiem Michałski. Poszukiwania nie dały żadnych wyników. Okazało się, że nazwisko to jest zmyślone.

Nagle, w kawiarni, czytając gazetę — kapitan zwraca uwagę na nekrolog o mającym się odbyć pogrzebie niejakiego Michałskiego, pielęgniarza. Szczyński postanawia jechać na cmentarz.

Gdy Biały Kapitan podchodził do kaplicy cmentarnej, schodami wysypywał się właśnie malutki orszak pogrzebowy. Przedem szedł chłopiec z krzyżem i chudy, biały ksiądz; czterech czarno ubranych mężczyzn niosło trumnę, za którą postępowało w milczeniu kilka osób. Biały wśród nich kobieta w ciężkiej żałobie, z twarzą zasłoniętą krepą, prowadziła za rękę młodą dziewczynkę, która w żałobie i opasce na lewym rękawie. Starszy, siwy kolejarz, niósł skromny wieniec, ktoś tam jeszcze wiązanek ciętych kwiatów.

Szczyński poczuł się nieswojo w swym jasnopopielatym, eleganckim garniturze, toteż postępował w sporej odległości za konduktorem.

Wreszcie ceremonia pogrzebowa skończyła się, odszedł ksiądz i grabarze. Rodzina zmarłego zatrzymała się przed bramą cmentarza, po czym po uściskach i pożegnaniach, kobieta w żałobie wraz z dzieckiem wolnym krokiem skierowała się w stronę miasta, widocznie zamierzając iść pieszo. Przypuszczam panią — Szczyński zawałił się, jak rozpoczął rozmowę z nią, że chwila jest niedopowiedziana... chciałyby jednak zamienić z panią parę słów.

Kobieta zatrzymała się, odsoniła krepę i spojrzała na mówiącego. Twarz jej miała wyraz zdecydowany.

— Nic nie płacz! — powiedziała stanowczo. — Niech się pan od razu pożegna z pieniędzmi. Dajam, chwala Bogu, ogłoszenie do trzech gazet, na rok przed jego śmiercią. Nic nie płacz i słuchaj. Za kilka dni niebieszczynka nie odpowiadając ci, niech się cięzej, że mu uciśnięcie pogrzeb wyparłam, z księdzem i kwiatami. Taką ja za zapowiedzi. Wiesz, idź naprzód, nie słuchaj! — taki pijak, cholera, całe noce chlał tylko i chlał wodę, a ja sobie ręce ubrałam, żeby to dziecko niebieszczył, te sieroty biedna... — rozplakała się i sięgnęła do torebki po chustkę. — O Boże, mój Boże, co ja przez tego drańca... żeby on z piekła nie wyszedł! Wacusi, idź naprzód... żeby go robaki żęły! —

— Chwileczkę — powiedział Szczyński oszołomiony — ale ja nie w sprawie długów.

— Nie o dług? — Wytarła nos i spojrzała na niego nieufnie. — No, to o co?

— Chciałem zapytać... gdzie państwo mieszkacie? Na jakiej ulicy?

— Na Tamce. A o co chodzi? Pan może z kwaterek? Nie z tego, już siostrzeczka zameldowała. Zagęszczenie jest.

Oficer zrozumiał, że w ten sposób się nie dogada. Postanowił więc mówić otwarcie.

— Nie jestem z kwaterek, tylko z milicji.

— Hm... — obrzuciła go dwiema spojrzynkami. — Milicja to góla, a pan ubrany jak hrabia!

— Czy woli pan rozmawiać z mną na komisariacie?

— O Boże! — krzyknęła załamując ręce, przy czym torebka wypadła jej na ziemię. — Dziękuję panu — otrząsała ją z kurzu. — Coż on znowu zmelował przed swoją us... a śmierć? A bodajby umarł z pięć lat temu! Bodajby go robaki —

— Gdzie pani ma pracować w ubiegłym roku? — Szczyńskiemu udało się wtrącić pytanie.

— Tam, gdzie przed śmiercią — i dwadzieścia lat temu, w gazowni.

— W ga... gdzie?

— No w gazowni, przecie mówię po polsku. Na Łudnej. Proszę — pogrzebała w torebce i wyjęła zniszczoną książeczkę w ciemnej okładce. — Proszę, tu wszystko jest — podsunęła mu pod nos. — O, słuszy-mechanik Franciszek Sołtyś. Proszę, niech pan ogląda, jak pan taki ciekawy.

Machinalnie wziął do ręki legitymację, wiedząc już, że nastąpiła tu fatalna, a przy tym obrzydliwie komiczna pomyłka. Książeczkę patrzyła na niego szelmowsko uśmiechnięta, pijacka gęba jakiegos Franciszka Sołtyśa, podczas gdy...

Oddał legitymację, przeprosił i zostawiwszy wdowę zdziwioną, obrażoną i nie nie rozumiejącą, szybko zawrócił w stronę cmentarza. W biurze zarządu pokazał nekrolog i zapytał, kiedy — i czy w ogóle odbył się pogrzeb Karola Michałskiego.

Kierownik biura przeczytał uważnie ogłoszenie i, zerkając do swoich papierów, ze zdumieniem potrząsnął głową.

— Coś nieprawdopodobnego! — powiedział do oficera. — Albo pomyłka w gazecie, albo ktoś komuś zrobił głupi kawał. To się jeszcze czasami zdarza, wprawdzie po wojnie coraz rzadziej... Ludzie takiego humoru już nie mają. Więc tak: żaden Karol Michałski nie został u nas dziś ani w poprzednich dniach pogrzebany. Nie mam też żadnego zawiadomienia na następne dni. A pan co, krewny? Znajomy?

— Znajomy. — Właśnie pan co? Niech pan da znać na milicję. Treba ludzi odczuć łobuzerstwa... chociaż, komu by się chciało wyrzucić dla żartu tyle pieniędzy? Przecież takie ogłoszenie kosztuje za siedemset złotych, albo i więcej. Podejrzana sprawa. Niech pan idzie na milicję. Pójdzie pan? Bo jak nie, to ja zadzwonię na nasz komisariat.

— Na pewno pójdę — odparł Szczyński.

— No, to dobrze. Bo jakby nie, to ja — tego... — mruzczał, raz jeszcze czytając nekrolog. — A pójdziesz! — krzyknął tak nagle, że Szczyński odruchowo wyskoczył na korytarz. Duży, rudy kot pozedł w jego ślady, lepiej rozumiejąc, do kogo się to odnosiło.

— Jedziemy do Komendy? — zapytał szofer, kiedy Biały Kapitan usiadł koło niego z nachmurzoną twarzą. — Mnie tam wszystko jedno, ale szef kapłana ochrania!

— Nie wasza sprawa. Jedziemy do redakcji „Życia Warszawy”.

— Ja mogę i do „Życia”... ale ochrania. Mnie tam wszystko jedno. O dwunastę major miał być w Ministerstwie. Jak pan kapitan chce.

— Chcę. Jedź do „Życia”.

W dziale ogłoszeń na parterze, lisy bleduły pan w okularach nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądała osoba, która zapłaciła nekrolog Karola Michałskiego.

— Na kwicie podpisała się Janina Michałska — rzekł w zadumie — co zresztą niczego nie dowodzi. I mówi pan, że nie było pogrzebu? Dziwna historia! Jeżeli w biurze cmentarnym w ogóle nie zamawiano ani nie opłacono pogrzebu, to znaczy, że sprawa polega tylko na ogłoszeniu.

— Czy nie mogło być omyłki? — zapytał Szczyński — np. w dacie albo nazwie cmentarza. Może pogrzeb odbył się na Bródnie?

Lysy pan zajął do kartoteki i wyjął kartkę z treścią nekrologu. Było na niej wyraźnie napisane: Powzaki — i data 5 czerwca, godzina 11. Szczyński okazał swoją legitymację służbową i poprosił o wydanie mu kartki oraz kwitu z podpisem Janiny Michałskiej. Lysy pan skrzywił się.

— Musiałbym wobec tego zostawić sobie odpis kwitu. No, dobrze. Zaraz panu wydaję.

— Nikt z państwa nie przypomina sobie, jak wyglądała ta osoba? — zapytał oficer. Dwie panie, siedzące pod oknem, potrząsnęły przecząco głowami.

— Mamy tu interesantów! — szepnęła jedna z respondentek, bo podobał jej przystojny kapitan. — I zwyczajnie codziennie przychodzi nowi. Trudno zapamiętać...

W każdym razie, gdyby się państwu przypomniało, to proszę bardzo dać mi znać.

Zostawił im numery telefonów i poprosił o zachowanie sprawy w tajemnicy, do czasu bliższego wyjaśnienia.

Gdy Szczyński wrócił do Komendy i wszedł do swego pokoju, odezwał się telefon wewnętrzny. Mówił Danilowicz.

Podobno niosłeś wieniec na pogrzebie niejakiego Michałskiego, kolejarz i żalobną wdowę a...

— Idź, ty diabie! — warknął ze złością Biały Kapitan. — Już ci nagadali!

— Wczoraj zapewniałeś kogoś przez telefon, że milicja wszystko wie. Kto ci dał mój wóz? Kreglewski?

— Naturalnie — odparł Szczyński z satysfakcją.

— Dostanie po łbie, Musiałem zabrać „Warszawę” pułkownikowi.

— To i ty dostaniesz po łbie, Stefan, skąd sięś dowiedziałeś?

— Wczoraj zmienił ton. — Byłem w swoim pokoju, kiedy zadzwonił ze szpitala doktor Goldberg. Przeczytał nekrolog, był zdziwiony i chciał się z tobą porozumieć. Przypuszczając, że będziesz na cmentarzu, posłałem tam milicjanta z komedii dzielnicowej.

— Gdzie on był?

— Szedł w kondukcje. Jako złośliwy krewny elektryka z gazowni.

— Słusznie — poprawił Szczyński. — Wszystko jedno. To nie ja jeden się nabrałem... marna pociecha. Byłem w redakcji — nie pamiętając, niestety, jak wyglądał ten ktoś, kto dawał ogłoszenie. Na kwicie podpisała Janina Michałska. Jak myślisz, po co ta komedia z nekrologiem?

— Żeby się milicja odczepiła od osoby pielęgniarza Michałskiego. Jasne, nie?

— Nie. Zbyt prymitywnie. Facet jest na to za sprytny. Świadectwa z Krosna, telefon z Wydziału Zdrowia, fałszywy adres... Musiał zdawać sobie sprawę, że jak go milicja szuka, to po takim ogłoszeniu ktoś przyjdzie na cmentarz.

— Albo i nie przyjdzie. Umarł, no to sprawa skończona. Rozumie się, że w chwili nie jako pracownik MO, tylko jak miarę sprytny przestępca. Nie przeceniaj go! Może to jego pierwsza zbrodnia?

— Wątpliwe, Stefan, musi być jakiś związek między tą sprawą a zabójstwem kierownika sklepu komisowego, wtedy w styczniu. Musi! Dajmy głowę, że to ten sam człowiek.

— Żebyś nie został bez górnej kończyny. Pomyśl nad motywem zbrodni. Przecież lekarzowi nie zabrano.

— Nie wiemy! Właśnie tego na pewno nie wiemy. Nie musiał to być koniecznie zegarek czy portfel. Kępiński mógł mieć przy sobie jakiś kompromitujący dokument, coś, czego by dobrowolnie nie oddał.

Major pomyślał chwilę.

— Więc uparcie sądzisz, że w obu sprawach działał jeden przestępca. Ha, próbuj dalej! Może twój kierunek jest słuszny. Ja ci się przypominam, że co do zabójstwa w sklepie straciłem już nadzieję.

— A esperanza e ultim que morre, jak mawia mój przyjaciel Eugeniusz. Co po polsku brzmi jeszcze ładniej; nadzieja jest ostatnia, która umiera.

— To ten literat, co był ileś tam lat w Brazylii?

— Dwadzieścia. Stefan, daj mi jeszcze dwóch ludzi! Na parę dni, dobrze? Muszę trochę przetrząsnąć stolice.

Umówił się i Szczyński spędził dłuższy czas na rozmowie z młodymi absolwentami Szkoły Ekspertów Kryminalistyk. Zaopatrzeni w dokładne wskazówki — co, jak i gdzie mają robić, wystawili nosy na wiatr jak wyżyli i wyruszyli na miasto.

Zas Biły Kapitan wyciągnął z garażu Komendy swój mocno zdezolowany, ale dziwnym trafem jakiś trzymający się motocykl i pognał do Wilanowa. Tymczasem sam sobie, że czyni to dla „odprężenia nerwów”. W rzeczywistości chciał uniknąć dalszych ewentualnych pytań, jak to było na pogrzebie...

Późnym wieczorem pielęgniarz Słupski otrzymał dwie godziny wolnego dla załatwienia niecierpiącej zwłoki sprawy rodzinnej. Ominawczy jednak beztrasko ulicę Śniadeckich, na której mieszkał, skręcił w Mokotowską, nie zatrzymując się aż na piątym piętrze wysokiego domu przy Pięknej.

Szczyński czekał już na niego, choć nie spodziewał się specjalnie ciekawych informacji. Tak też i było. Słupski przystąpił do wykładania, był bardzo dokładny w robocie, zdawał mu sprawę z atmosfery w szpitalu, z rozmów jakie przeprowadził i jakie słyszał; rzecz jasna, niemal wszyscy bez przerwy rozmawiali o zabójstwie doktora Kępińskiego. Wprawdzie profesor Szczerbiński jak najsurowiej zabronił mówić o tym przy chorych, niewiadomo jednak sposobem chorzy dowiedzieli się i sale, zwłaszcza kobiece trzęsły się od plotek, przypuszczeń i wniosków. Pod wieczór wielu

pacjentów dostało gorączki, niektórzy obawiali się pić herbatę (może zatruta?...), a dwie kobiety z nieustalanej bliżej przyczyny pobity się w łazience.

Po tym fakcie, Szczerbiński zadzwonił wprost do generała MO, prosząc, aby milicja, jeżeli już musi, pokazywała się w szpitalu w jakiejś zdecydowanie odmiennej postaci — wszystko jedno: kominiarzy, siostr zakonnych czy żonglerów, bo inaczej cały porządek tego przybytku chorób diabli wezmą i on za nic nie odpowiada.

To wszystko opowiedział Szczyńskiemu pielęgniarz Słupski vel sierżant Wiązek, siedząc w jego mieszkaniu i popijając mocną herbatę.

— Żadnego śladu, jakiegos słowa czy nazwiska — nie? — Na razie nie, kapitanie. Obrobiliśmy już portiera; stary jest łasy na dobry tyton fajkowy... Może co z niego wyciągnąć. Przyużywają też sobie taką małą dziewczynkę, pielęgniarzkę; nazywa się Andrzejka. W niedziele idę z nią na kstuty, to „tego” chrząknął i umilkł.

— Lekarze was nie podejrzewają?

— A, gdzież tam! Ze mnie, kapitanie, naprawdę dobry pielęgniarz, nie bójcie się o nic. Ale — le! Zapomniałem. Wście, tam jest taki doktor Aster... — Wiem. Był wówczas przy zabitym.

— Tak. Gadałem z dozorcą jego kamienicy. Powiedział mi, że z całą pewnością Astera nie było w domu do północy, że potem przyszedł skądś i może w kwadrans po przyjeździe wyjechał jak oparzony w stronę szpitala. Siostra Elżbieta zdawała do niego po znośzeniu ciała. Widocznie wybiegł tak szybko z domu po otrzymaniu tej wiadomości.

— Ano, tak by wypadło.

— Pytałeś portiera, czy Aster nie przychodził do szpitala gdzieś między godziną 20 a 23?

— Pytałem. Ale stary mówił tak: „Lekarzy, to ja tam nie rachuję, ile razy i kiedy wchodzi i wychodzi. Może i był”. Myśle, kapitanie, że Aster mógł wejść poprzednio i wyjść niezauważony. Albo też... zawałił się.

— Właśnie! Czy jako etatowy lekarz nie posiadał przypadkiem klucza od głównego lub tylnego wejścia?

— Będę go miał na oku. No, to już pójdę. Jakby co, zadzwonię.

Uściśnili sobie ręce i wywiadowca znikł za drzwiami. Szczyński usiadł w fotelu, przetrząsnął nogi przez poręcz i zamyslił się głęboko. Doktor Aster. Czy to możliwe? Jaki byłby powód zabicia? Jakies zawodowe ambicje, zawzięcie? Zaraz, jak to mówiła pani Renata Kępińska: „Ostatnio mał po sprzeczał się z Asterem, który zarzucił mu błąd w operacji...” czy diagnozie, mniejsza z tym. Przychoził do nich, był jednym z częstszych gości, bliższych znajomych.

Doktor Aster. Przystojny, ciemnonoki starszy pan... Hm. Pani Renata jest bardzo ładna.

Aster dobrze wiedział, kiedy Kępiński ma dyżur i nie będzie go w domu. Przez całą noc nie będzie w domu... Ciekawe, czy wywiadowca, który obserwuje mieszkanie na Rozbracie, zdołał już zająć swoją szafę gospodarza.

— Nie! Psiakrew, to mi nie pasuje! — wykrzyknął, zrywając się z fotela i zaczynając szybki spacer dokoła stołu. Nie pasowało do koncepcji dwóch zbrodni i jednego zbrodniarza — w sklepie komisowym i w szpitalu. Doktor Aster na pewno nie zabił Zadrożnego.

A może... może złota bransoleta na rękę pani Kępińskiej, to bynajmniej nie prezent od męża?

Zadzwonił telefon, przerywając Szczyńskiemu tok myśli.

— Słucham...

— Ona była ruda! Teraz mi się przypomniało — usłyszał męski głos.

— Jedziemy do Komendy? — zapytał szofer, kiedy Biały Kapitan usiadł koło niego z nachmurzoną twarzą. — Mnie tam wszystko jedno, ale szef kapłana ochrania!

— Nie wasza sprawa. Jedziemy do redakcji „Życia Warszawy”.

— Ja mogę i do „Życia”... ale ochrania. Mnie tam wszystko jedno. O dwunastę major miał być w Ministerstwie. Jak pan kapitan chce.

— Chcę. Jedź do „Życia”.

W dziale ogłoszeń na parterze, lisy bleduły pan w okularach nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądała osoba, która zapłaciła nekrolog Karola Michałskiego.

— Na kwicie podpisała się Janina Michałska — rzekł w zadumie — co zresztą niczego nie dowodzi. I mówi pan, że nie było pogrzebu? Dziwna historia! Jeżeli w biurze cmentarnym w ogóle nie zamawiano ani nie opłacono pogrzebu, to znaczy, że sprawa polega tylko na ogłoszeniu.

— Czy nie mogło być omyłki? — zapytał Szczyński — np. w dacie albo nazwie cmentarza. Może pogrzeb odbył się na Bródnie?

Lysy pan zajął do kartoteki i wyjął kartkę z treścią nekrologu. Było na niej wyraźnie napisane: Powzaki — i data 5 czerwca, godzina 11. Szczyński okazał swoją legitymację służbową i poprosił o wydanie mu kartki oraz kwitu z podpisem Janiny Michałskiej. Lysy pan skrzywił się.

— Musiałbym wobec tego zostawić sobie odpis kwitu. No, dobrze. Zaraz panu wydaję.

— Nikt z państwa nie przypomina sobie, jak wyglądała ta osoba? — zapytał oficer. Dwie panie, siedzące pod oknem, potrząsnęły przecząco głowami.

— Mamy tu interesantów! — szepnęła jedna z respondentek, bo podobał jej przystojny kapitan. — I zwyczajnie codziennie przychodzi nowi. Trudno zapamiętać...

W każdym razie, gdyby się państwu przypomniało, to proszę bardzo dać mi znać.

Zostawił im numery telefonów i poprosił o zachowanie sprawy w tajemnicy, do czasu bliższego wyjaśnienia.

Gdy Szczyński wrócił do Komendy i wszedł do swego pokoju, odezwał się telefon wewnętrzny. Mówił Danilowicz.

Podobno niosłeś wieniec na pogrzebie niejakiego Michałskiego, kolejarz i żalobną wdowę a...

— Idź, ty diabie! — warknął ze złością Biały Kapitan. — Już ci nagadali!

— Wczoraj zapewniałeś kogoś przez telefon, że milicja wszystko wie. Kto ci dał mój wóz? Kreglewski?

— Naturalnie — odparł Szczyński z satysfakcją.

— Dostanie po łbie, Musiałem zabrać „Warszawę” pułkownikowi.

— To i ty dostaniesz po łbie, Stefan, skąd sięś dowiedziałeś?

— Wczoraj zmienił ton. — Byłem w swoim pokoju, kiedy zadzwonił ze szpitala doktor Goldberg. Przeczytał nekrolog, był zdziwiony i chciał się z tobą porozumieć. Przypuszczając, że będziesz na cmentarzu, posłałem tam milicjanta z komedii dzielnicowej.

— Gdzie on był?

— Szedł w kondukcje. Jako złośliwy krewny elektryka z gazowni.

— Słusznie — poprawił Szczyński. — Wszystko jedno. To nie ja jeden się nabrałem... marna pociecha. Byłem w redakcji — nie pamiętając, niestety, jak wyglądał ten ktoś, kto dawał ogłoszenie. Na kwicie podpisała Janina Michałska. Jak myślisz, po co ta komedia z nekrologiem?

— Żeby się milicja odczepiła od osoby pielęgniarza Michałskiego. Jasne, nie?

— Nie. Zbyt prymitywnie. Facet jest na to za sprytny. Świadectwa z Krosna, telefon z Wydziału Zdrowia, fałszywy adres... Musiał zdawać sobie sprawę, że jak go milicja szuka, to po takim ogłoszeniu ktoś przyjdzie na cmentarz.

— Albo i nie przyjdzie. Umarł, no to sprawa skończona. Rozumie się, że w chwili nie jako pracownik MO, tylko jak miarę sprytny przestępca. Nie przeceniaj go! Może to jego pierwsza zbrodnia?

— Wątpliwe, Stefan, musi być jakiś związek między tą sprawą a zabójstwem kierownika sklepu komisowego, wtedy w styczniu. Musi! Dajmy głowę, że to ten sam człowiek.

— Żebyś nie został bez górnej kończyny. Pomyśl nad motywem zbrodni. Przecież lekarzowi nie zabrano.

— Nie wiemy! Właśnie tego na pewno nie wiemy. Nie musiał to być koniecznie zegarek czy portfel. Kępiński mógł mieć przy sobie jakiś kompromitujący dokument, coś, czego by dobrowolnie nie oddał.

Major pomyślał chwilę.

— Więc uparcie sądzisz, że w obu sprawach działał jeden przestępca. Ha, próbuj dalej! Może twój kierunek jest słuszny. Ja ci się przypominam, że co do zabójstwa w sklepie straciłem już nadzieję.

— A esperanza e ultim que morre, jak mawia mój przyjaciel Eugeniusz. Co po polsku brzmi jeszcze ładniej; nadzieja jest ostatnia, która umiera.

— To ten literat, co był ileś tam lat w Brazylii?

— Dwadzieścia. Stefan, daj mi jeszcze dwóch ludzi! Na parę dni, dobrze? Muszę trochę przetrząsnąć stolice.

Umówił się i Szczyński spędził dłuższy czas na rozmowie z młodymi absolwentami Szkoły Ekspertów Kryminalistyk. Zaopatrzeni w dokładne wskazówki — co, jak i gdzie mają robić, wystawili nosy na wiatr jak wyżyli i wyruszyli na miasto.

Zas Biły Kapitan wyciągnął z garażu Komendy swój mocno zdezolowany, ale dziwnym trafem jakiś trzymający się motocykl i pognał do Wilanowa. Tymczasem sam sobie, że czyni to dla „odprężenia nerwów”. W rzeczywistości chciał uniknąć dalszych ewentualnych pytań, jak to było na pogrzebie...

Późnym wieczorem pielęgniarz Słupski otrzymał dwie godziny wolnego dla załatwienia niecierpiącej zwłoki sprawy rodzinnej. Ominawczy jednak beztrasko ulicę Śniadeckich, na której mieszkał, skręcił w Mokotowską, nie zatrzymując się aż na piątym piętrze wysokiego domu przy Pięknej.

Szczyński czekał już na niego, choć nie spodziewał się specjalnie ciekawych informacji. Tak też i było. Słupski przystąpił do wykładania, był bardzo dokładny w robocie, zdawał mu sprawę z atmosfery w szpitalu, z rozmów jakie przeprowadził i jakie słyszał; rzecz jasna, niemal wszyscy bez przerwy rozmawiali o zabójstwie doktora Kępińskiego. Wprawdzie profesor Szczerbiński jak najsurowiej zabronił mówić o tym przy chorych, niewiadomo jednak sposobem chorzy dowiedzieli się i sale, zwłaszcza kobiece trzęsły się od plotek, przypuszczeń i wniosków. Pod wieczór wielu

pacjentów dostało gorączki, niektórzy obawiali się pić herbatę (może zatruta?...), a dwie kobiety z nieustalanej bliżej przyczyny pobity się w łazience.

Po tym fakcie, Szczerbiński zadzwonił wprost do generała MO, prosząc, aby milicja, jeżeli już musi, pokazywała się w szpitalu w jakiejś zdecydowanie odmiennej postaci — wszystko jedno: kominiarzy, siostr zakonnych czy żonglerów, bo inaczej cały porządek tego przybytku chorób diabli wezmą i on za nic nie odpowiada.

To wszystko opowiedział Szczyńskiemu pielęgniarz Słupski vel sierżant Wiązek, siedząc w jego mieszkaniu i popijając mocną herbatę.

— Żadnego śladu, jakiegos słowa czy nazwiska — nie? — Na razie nie, kapitanie. Obrobiliśmy już portiera; stary jest łasy na dobry tyton fajkowy... Może co z niego wyciągnąć. Przyużywają też sobie taką małą dziewczynkę, pielęgniarzkę; nazywa się Andrzejka. W niedziele idę z nią na kstuty, to „tego” chrząknął i umilkł.

— Lekarze was nie podejrzewają?

— A, gdzież tam! Ze mnie, kapitanie, naprawdę dobry pielęgniarz, nie bójcie się o nic. Ale — le! Zapomniałem. Wście, tam jest taki doktor Aster... — Wiem. Był wówczas przy zabitym.

— Tak. Gadałem z dozorcą jego kamienicy. Powiedział mi, że z całą pewnością Astera nie było w domu do północy, że potem przyszedł skądś i może w kwadrans po przyjeździe wyjechał jak oparzony w stronę szpitala. Siostra Elżbieta zdawała do niego po znośzeniu ciała. Widocznie wybiegł tak szybko z domu po otrzymaniu tej wiadomości.

— Ano, tak by wypadło.

— Pytałeś portiera, czy Aster nie przychodził do szpitala gdzieś między godziną 20 a 23?

— Pytałem. Ale stary mówił tak: „Lekarzy, to ja tam nie rachuję, ile razy i kiedy wchodzi i wychodzi. Może i był”. Myśle, kapitanie, że Aster mógł wejść poprzednio i wyjść niezauważony. Albo też... zawałił się.

— Właśnie! Czy jako etatowy lekarz nie posiadał przypadkiem klucza od głównego lub tylnego wejścia?

— Będę go miał na oku. No, to już pójdę. Jakby co, zadzwonię.

Uściśnili sobie ręce i wywiadowca znikł za drzwiami. Szczyński usiadł w fotelu, przetrząsnął nogi przez poręcz i zamyslił się głęboko. Doktor Aster. Czy to możliwe? Jaki byłby powód zabicia? Jakies zawodowe ambicje, zawzięcie? Zaraz, jak to mówiła pani Renata Kępińska: „Ostatnio mał po sprzeczał się z Asterem, który zarzucił mu błąd w operacji...” czy diagnozie, mniejsza z tym. Przychoził do nich, był jednym z częstszych gości, bliższych znajomych.

Doktor Aster. Przystojny, ciemnonoki starszy pan... Hm. Pani Renata jest bardzo ładna.

Aster dobrze wiedział, kiedy Kępiński ma dyżur i nie będzie go w domu. Przez całą noc nie będzie w domu... Ciekawe, czy wywiadowca, który obserwuje mieszkanie na Rozbracie, zdołał już zająć swoją szafę gospodarza.

— Nie! Psiakrew, to mi nie pasuje! — wykrzyknął, zrywając się z fotela i zaczynając szybki spacer dokoła stołu. Nie pasowało do koncepcji dwóch zbrodni i jednego zbrodniarza — w sklepie komisowym i w szpitalu. Doktor Aster na pewno nie zabił Zadrożnego.

A może... może złota bransoleta na rękę pani Kępińskiej, to bynajmniej nie prezent od męża?

Zadzwonił telefon, przerywając Szczyńskiemu tok myśli.



Księżniczka Matgorzata angielska spotkała się w Londynie ze znaną aktorką włoską Gino Lollobrigida. Fot. — CAF

O i chwili pojawienia się na naszych ekranach „Pustelni Par-mońskich” w swym rodzaju nastroju ujrawszy Gerarda Philippe wykrzyknęły: „ten albo żaden”. Cemu zresztą dziwić się pensjonatkom, skoro i co dojrzałe kobiety z radoscią witały każdy nowy film z tym uroczym aktorem.

Ala „Monsieur Ripois” — stanowi ukoronowanie całej dotychczasowej „szukanki uwodzicieli”, demonstrowanej przez Gerarda Philippe. Tu mamy już do czynienia z typowym, młodzięcym i uroczym „Don Juanem”, ale z cwińszem, nieczystym, który kobiety traktuje jako stopnie do swej kariery. Jeździ on kobietami, jakby zdobywał pienie — jest mu przydatna, gdy przestaje mu być potrzebna — rzuca ją bez strudki.

Monsieur Ripois jest typowym przedstawicielem tej młodzieży wojennej, na którą narzekamy, że nie ma dla niej nic świętego, nic szlachetnego.

Gerard Philippe ukazuje nam spryciarza, który świetnie posługuje się swymi umiejętnościami uwodź. Iel-

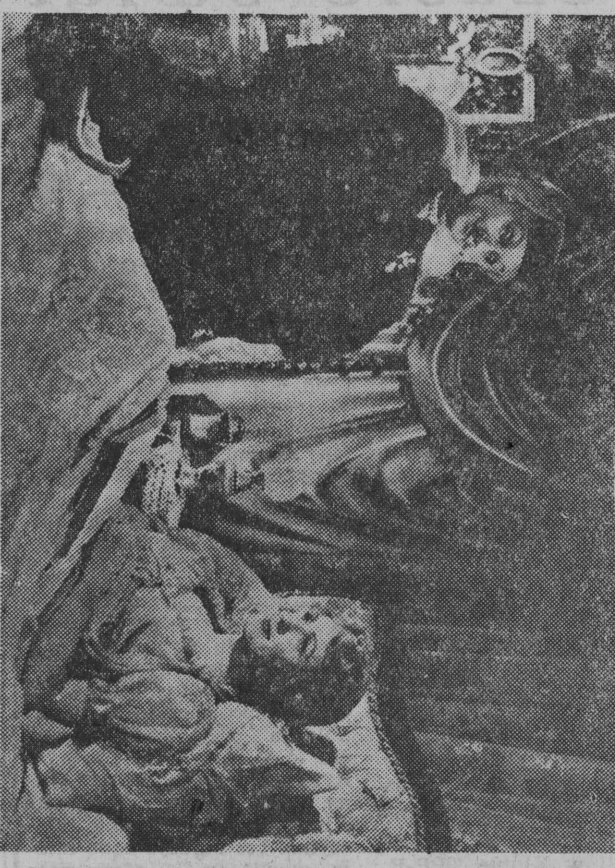
Nowinki! FILMOWE

skimi, traktując każdą ze swych „ofiar” w sposób indywiduálny. Jest przy tym niezmiennie uroczy i widz abych nie dziwi się „człowiekowi” przez monsieur Ripois zwycięstwom.

„Monsieur Ripois” — to jedyna z najznakomitszych ról tego ulubionego przez nas „Pana”.

„Kochanek o północy”

przybywa do domu państwa Bonnadieu, by zburzyć szczęście małżeństwa.



wiony oko w oko z nagą prawdą — choć wolałaby o tym wszystkim nie wiedzieć.

Jednak jego moralność podpowiada mu znakomite wyjście z sytuacji, polegające na zatuszowaniu tej całej przykrych historii. Tym sposobem miasteczkowe plotkarki mają zamknięte usta, a pani Bonnadieu.. może śmiało oczekiwać nowego kochanka o północy.

W roli świetnego pana Bonnadieu — znakomity aktor francuski — Bernard Blier, zaś jego żonę gra (i to jak) uroczą, zawsze piękną Danielle Darieux. Film technie atmosfery prowincjalnego miasteczka z ubiegłego wieku i pełen jest typowej francuskiej finezji.

K. S.

O kno małego mieszkania na poddaszu wychodziło na tor, które wyglądały wieczorem jak miedziana droga. Torami przejeżdżały wagony wiozące ludzi w nieznanym, daleki świat.

Kobieta często stawała przed oknem. Gwizd pociągów był dla niej nieczym zegar wydzwaniający godziny. Towarzyszył jej samotnemu życiu od wielu lat. Lubiała podróże, a nigdzie nie jeździła. Nikt jej nie zapraszał, nikt nie pragnął jej towarzyszyć.

Godziny swojej pracy obliczała według odejścia pociągów.

— Do pociągu odchodzącego w kierunku Warszawy uszły dwie koszułki. Zarobię 10 zł — planowała.

Szyła koszule, sukieneczki dziecięce, fartuszki. Odnosiła je do spółdzielni i nigdy nie widziała ludzi, którzy się ubierali w odzież, nad którą śleczkała przez wiele godzin odliczanych gwizdem lokomotyw.

Jednym z nielicznych gości w jej mieszkaniu był inkasent, który przy-

OBRAZKI z życia MOJEGO MIASTA

chodził regularnie każdego miesiąca po odbiór należności za zużyty prąd. Do starych, choć nieczystych gości należał też listonosz. Stawał w progach, przyjaźnie uśmiechnięty, odliczał powoli 170 zł 80 gr i podsuwał pokazać obwiesiem miejsca, gdzie trzeba było złożyć podpis. Niekiedy mówił, że jest zmęczony, albo że upał na dworze, albo że mróz. I tak od lat. Poznawała go już nawet po krokach, gdy szedł po schodach. Kroki powolne, czapnięcie, to listonosz. Krok równy, zamaszysty — inkasent. Przyzwyczaiła się do nich, jak do gwizdu lokomotyw.

Tego dnia częściej niż zwykle stawała przed oknem. Ludzie tłoczyli się do zapchanych wagonów. Wszyscy spieszyli, by zdążyć na czas. Na-

Za oknem, po szynach toczyły się wagony opóźnionego pociągu.

A. S.

ROZRYWKI umysłowe

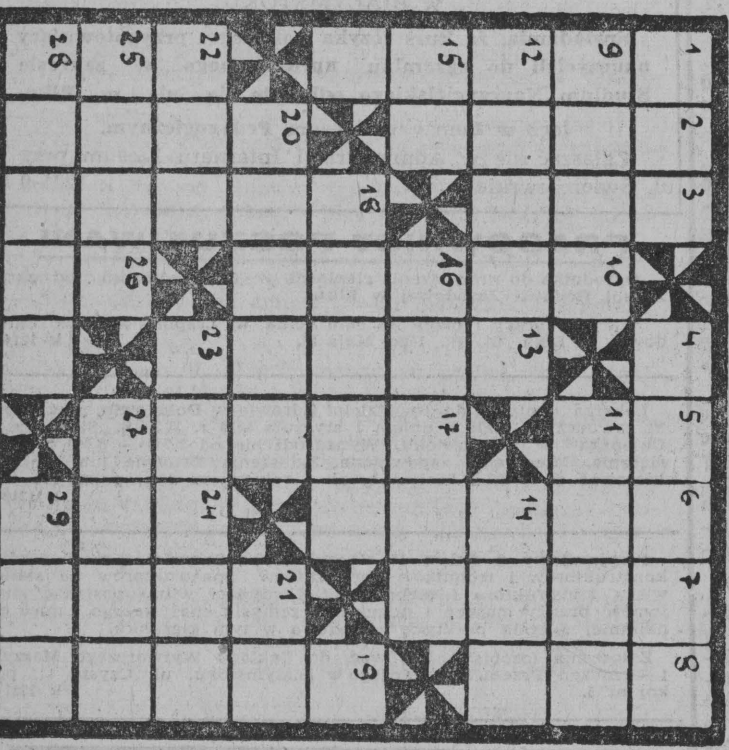
Redaguje Zofia Sowulowska

Zadanie nr 14

KRZYŻOWKA

POZIOMO: 1. Pierwsiastek chemiczny, 4. Odczynnik, 5. Przysmak, 6. Symbol samoności lub części ręki, 7. Wodór, 8. Sygnał rozbitków, 10. Odrzeka jedwabnika, 13. Krótka sukienka żołnierska przewiązana w pasie, 17. Niezbędny w każdym rowerze, 18. Trzech do pisanie, 19. Turceci gubernator, 20. Najlepiej szły katurnek półna, 21. Inaczej wczesanie, o święcie, 22. Nazwa ludu mieszkającego w Afryce Zachodniej przy dorzeczu rzeki Ogowe, 24. Oprawca, 26. Nuta.

ROZWIĄZANIE zadania nr 14 nadesłał należy do dnia 31 bm. na adres Redakcji „Gazety Białostockiej” z dopiskiem na kopercie: „Rozrywki umysłowe”.



ROZWIĄZANIE ZADANIA Nr 12

KRZYŻOWKA

POZIOMO: karawan, ora, re, Orso, Osad, el, onl, anapest. PIONOWO: korona, Arca, Ra, war, neolit, od, sens, ana, O.E. SZARADA: niedola. Za prawidłowe rozwiązanie nagrody książkowe wylosowali: 1. Halina Tomasz (Górnica), 2. Jadwiga Wilkowska (Wólka Zankowa), 3. Maria Chowaniec (Siemiatyż), 4. Aniela Beklewska (Warszawa), 5. Czesław Zimniski (Elk).



COCTEAU

malac Zem



Znany poeta, dramaturg i autor scenariuszy filmowych, członek Akademii Francuskiej — Jean Cocteau „trudni” się również malarstwem. Jego dziełem jest ozdobienie starych kaplic w Villedard. Oto jeden z modeli i fragment odpowiedniego fresku.

Fot. — CAF

Numer ilustrował Jerzy Lengiewicz